

Aleksander Małachowski

ROZMYŚLANIA Z POWODU PEWNEJ FOTOGRAFII

Od dawna mało piszę i jeszcze mniej publikuję. Właściwie tylko ten „Pamiętnik Współczesny” w „Kulturze”. Dlatego propozycja redakcji „Odry”, by napisać kilka refleksji z okazji obchodów 60-lecia odzyskania niepodległości wydała mi się niemożliwa do wykonania. Później jednak uświadomiłem sobie, że dysponuję pewnym zapasem przemyśleń, nigdy i nigdzie nie wykorzystanych, na temat pewnej szczególnej cechy naszej przeszłości i związanego z tym niepokoju o przyszłość. Coraz rzadziej myślę o historii jako takiej, a nawet o tym, jakie wydarzenia minione mają wpływ na to, co się dzieje aktualnie. Coraz częściej szukam natomiast powiązań między tym, co było, i tym, co będzie. Ale to moje myślenie o przyszłości nie ma nic z futurologii. Ja przyszłości nie przewiduję, ja się o nią niepokoję.

Moje historyczne przemyślenia wiążą się przede wszystkim z pewną fotografią sprzed kilkudziesięciu lat, którą pokazuję znajomym jako swoisty rebus. Widnieje na niej pięciu panów. Dwu polskich Żydów, jeden tylko co spolszczony Niemiec, jeden Ormianin i jeden z pochodzenia, jakby się to dawniej określiło, Rusin, gdyż nazwiska kończące się na „icz” są zazwyczaj pochodzenia ruskiego.

Kim są ci panowie? To grupa wielkich polskich poetów: Skamandryci. Jakże to tak, zdziwi się ktoś i co to może mieć za znaczenie, że ci poeci pochodzą z takich rodzin, skoro

czują się polskimi pisarzami.

No właśnie, to jest ten fenomen historyczny, że ludzie o takim pochodzeniu stali się Skamandrytami, grupą polskich poetów. I ten fakt jest koronnym dowodem w pewnej sprawie, którą chcę tutaj obszerniej wyłożyć.

Wpierw jednak przypomnę jeszcze kilka momentów z tej samej dziedziny, czyli z socjologicznego uwarunkowania literatury. Z trójki wieszczów Mickiewicz pochodził podobno z tak zwanej litewskiej, czyli raczej białoruskiej, spolszczonej rodziny z domieszką krwi żydowskiej, Słowacki zaś wiódł się z rodu ormiańskiego, także mocno spolszczonego. Tak w każdym razie utrzymują niektórzy badacze. Krasiński był z rodziny niby to czysto polskiej etnicznie. Ale rodził się z księżniczki litewsko-białoruskiej. Z Radziwiłłówny. Chopin był pół-Francuzem, Linde Niemcem, a Matejko z pochodzenia Czechem.

Otóż to. Jeśli spojrzeć na twórców kultury polskiej od strony etnicznej i zapytać, kto jest kto, a raczej, kto jest kim, wówczas dostrzega się olbrzymią mozaikę. Mnóstwo tu obcych, ale wszyscy to Polacy zakamieniali, zatwardziali, wielcy Polacy — jak mówiono na Śląsku („wielki Polak" to osobnik o bardzo polskim nastawieniu). W żadnym wypadku nie byli to ludzie tylko w Polsce zamieszkali i tu wychowani, więc siłą rzeczy posługujący się językiem polskim.

Ten etniczny sposób wnikania w sprawy kultury może się komuś wydawać mocno prymitywny, ale tak nie jest. Można bowiem przy jego pomocy w wielkim skrócie wyrazić to, na co inaczej trzeba zmarnować wiele słów. O cóż tu mianowicie chodzi? Dzieła kultury tworzą ludzie poddani

zarówno działaniu owej wielkiej nadrzędnej kultury narodowej, jak i swojej własnej małej kultury domowej, ludzie poddani tradycjom rodzinnym i religijnym, poddani wpływom szkół — nazwijmy je mniejszościowymi albo właściwymi dla danej grupy narodowej. Za tym wszystkim, za domem rodzinnym, szkołą, religią, jakąś własną tradycją narodową kryją się bardzo różne wpływy cywilizacyjne. I one są najistotniejsze. Bo czynnik etniczny określa to, jak wiele wpływów, zupełnie odrębnych wpływów cywilizacyjnych, zaznaczyło się w naszej kulturze. Zresztą, tak u nas, jak i na całym świecie, obce wpływy przenikały różnymi drogami, niekoniecznie poprzez osiedlanie się cudzoziemców w naszym kraju. Obce wpływy przywozili studenci kształcący się za granicami, obce szło z książek, obce przywozili ludzie przyjezdni, kupcy, duchowni, dyplomaci. Ale nie w tym rzecz, by wyliczyć wszelkie możliwe rodzaje importowania do Polski różnorodnych wątków kulturowych. To byłaby długa i żmudna w czytaniu wyliczanka. Wystarczy przypomnieć, że kultura polska w tym kształcie, jaki na nas do dzisiaj oddziałuje, nie jest jednorodna, lecz stanowi olbrzymią i barwną mozaikę, że jest mieszaniną tysiąca różnorodnych wątków idących ze Wschodu i Zachodu, z Południa i Północy, z Grecji i Bizancjum, z Rzymu i ze Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z Rosji i Szwecji, z Węgier i Turcji, z Kaukazu i z Hiszpanii.

Czy to wszystko ma jednak cokolwiek wspólnego z 60-letnim odzyskaniem niepodległości? Odpowiedź na to pytanie jest zawarta w mojej, nieco — a może nawet całkiem innej

— od powszechnie przyjętej, interpretacji słów „odzyskanie niepodległości przez Polskę”.

Twierdzę, że twór państwowy zmazany z mapy Europy w końcu XVIII wieku — twór, którego najwłaściwszą nazwą jest chyba określenie „Rzeczypospolita Wielu Narodów” — a który nie był, czy też w pewnym okresie przestał być Polską w tym znaczeniu, jakie dzisiaj temu słowu nadajemy, nigdy się po upadku nie odrodził. Przedwojenna niepodległa Polska istniała już na zupełnie odmiennych zasadach niż jej poprzedniczka, dawna Rzeczypospolita, a inność ta pogłębiła się tak kolosalnie po ostatniej wojnie, że w tym mówieniu o ciągłości tradycji utrzymującej się między naszą epoką, między Polską Ludową a dawną Rzeczpospolitą, jest więcej pozorów i szukania pewnej, być może nawet utopijnej, sprawiedliwości historycznej niż rzeczywistości.

Głoszę tu niewątpliwą herezję i w małym eseju trudno mi będzie dowieść moich racji. Tym trudniej, że znaczna część naszego społeczeństwa została już wychowana w tak innych warunkach, iż wyobrażenie sobie tego, jak było ongiś w naszym kraju, jest równie kłopotliwe dla współczesnego Polaka, co zrozumienie tych spraw byłoby męczące i niemożliwe dla Anglika czy Francuza.

W naszym nauczaniu historii zaniedbujemy bowiem uświadamianie współczesnym, że np. w dobie renesansu polskiego, w epoce Reja, Kochanowskiego i Frycza Modrzewskiego, w stolicy państwa, w Krakowie, w sporej części urzędów miejskich mówiło się po niemiecku, sądziło się obywateli polskich w języku niemieckim i w takim języku były prowadzone zapisy i archiwa. Któż przypomina dzisiaj,

że znaczną część praw tego olbrzymiego europejskiego mocarstwa, jakim była Polska szesnastowieczna, stanowiono w języku ruskim i kancelarie królewskie w takim języku prowadziły korespondencję wewnątrzkrajową? To samo dotyczy języka codziennego znacznej części rządzącej elity. W domach wielkich rodzin magnackich, u Tyszkiewiczów, Chodkiewiczów, Radziwiłłów, Sanguszków, Zbaraskich i Wiśniowieckich (niedługo to już miała być rodzina królewska) mówiło się na co dzień i od święta po rusku, bo to były przecież rody ruskie, a nie polskie. A intelektualiści, by takim dzisiejszym określeniem nazwać uczonych i światłe duchowieństwo? Ci używali łaciny w piśmie i naukowych dysputach, na co dzień zaś posługiwali się mowami własnymi, czyli niemiecką, ruską, ormiańską, żydowską — i polską, oczywiście także. I nie w jednym Krakowie język niemiecki dominował w urzędach miejskich. Były całe wielkie obszary kraju, gdzie polszczyzny nie było słyhać, chyba od święta. Mówiono po litewsku, rusku, mówiono językiem ormiańskim, tatarskim, żydowskim.

A w jakich kościołach modlili się obywatele dawnej Rzeczypospolitej? Ile wyznań, obrządków, religii? Jeszcze w moim dzieciństwie spędzonym na pograniczu Podola i Wołynia obchodziliśmy trzy rodzaje świąt: rzymsko- i greckokatolickie oraz żydowskie. O kilkanaście kilometrów od nas były ponadto święta prawosławne. Od dziecka było wiadomo, że Boga można chwalić i czcić na wiele sposobów.

A języki? Ja jako dziecko musiałem mówić biegle po polsku i po ukraińsku, a właściwie po rusku, jak się jeszcze u nas to nazywało, ponadto potrzebny mi był niemiecki,

francuski i rosyjski oraz musiałem znać nieco jidisz. W dawnej Polsce było tak samo, z tą drobną różnicą, że w polskim magnackim domu znajomość rodzinnego języka nie była konieczna. Jan Potocki, zapoznany do dziś wielki geniusz przełomu XVIII i XIX wieku, fenomenalnie utalentowany uczonek, prekursor wielu obowiązujących do dziś teorii naukowych i znakomity pisarz oraz podróżnik i pierwszy Polak, co latał balonem nad Warszawą, nie znał języka polskiego i do końca życia się go nie nauczył. Pisał po francusku, a ze służbą i ludem swoim pańszczyźnianym mówił po rusku, lecz czuł się Polakiem. I to nie był żaden frazes to jego polskie patriotyczne myślenie. Gdy wraz ze śmiercią Napoleona na Wyspie Świętej Heleny, przysła ostatecznie nadzieja na wybicie się Polaków na niepodległość, stary hrabia strzelił sobie w łeb.

Wspomniałem tu przed chwilą własne życie nie z próżności. Muszę coś wyjaśnić. Napisałem poprzednio, że dzisiejszemu Polakowi trudno zrozumieć, co się ongiś działo w Rzeczypospolitej. Czy ja zatem nie jestem współczesnym Polakiem? A jeśli tak, to dlaczego próbuję zajmować się czymś rzekomo dla mnie niezrozumiałym? Otóż wychowałem się w mocno zapadłym kącie, w powiecie zbaraskim, gdzie panowały jeszcze bardzo archaiczne stosunki społeczne i ekonomiczne. Bliżej było od nas do feudalizmu niż czegokolwiek współczesnego. Jako dziecko mówiłem wieloma językami, spotykałem na co dzień ludzi różnych narodowości, modliłem się na przemian raz w cerkwi, raz w kościele i jeszcze ustawicznie patrzyłem, jak Żydzi obchodzą swoje święta. Myślę, że w tym naszym

rezerwacie było jeszcze coś z dawnych czasów, a nawet nie coś, lecz wiele, wiele nieskażonych postępowaniem stosunków. I przeżycie w takim układzie całej wczesnej młodości sprawiło, że chyba z dawnych czasów rozumiem więcej, niż innym to może przypadać w udziale. Z książek bym tego wszystkiego nie rozumiał. Z książek wyczytałbym fakty, ale trzeba jednak samemu pożyć trochę w społeczności niejednorodnej, by zrozumieć prawa, jakie nią rządzą, by zrozumieć, dlaczego np. w jednej rodzinie siostry mogły być Ukrainkami, a bracia Polakami. Napisałem to zdanie i włos mi się zjeżył na głowie. Jak ono zostanie odczytane? Czy młody człowiek może dzisiaj zrozumieć to, że o przynależności narodowej decydowało wyznanie, a raczej obrządek rodziców, i zaledwie czterdzieści lat temu chłopak z naszych stron wychowywany na polskiego patriotę miał rodzoną siostrę, która w tym samym domu była wychowywana na patriotkę ukraińską. Przecież to jawny idiotyzm, zawrzaśnie każdy młody, a jednak tak było naprawdę, i to nie był żaden idiotyzm, ale wiekowe współistnienie dwu narodów, urozmaicane co pewien czas powszechną krwawą rzezią.

Okoliczności, w jakich zostałem wychowany, sprawiły zatem, że patrzę na historię Polski nieco inaczej niż wszyscy, gdyż wiem, co się kryje pod podszewką wielu zdarzeń, wiem nie z książek, ale z własnych obserwacji.

A swoją drogą rozumiem, że dla kogoś młodszego i obcego, dla cudzoziemca także, jest coś paranoicznego w tym, że pałac zbudowany przez włoskiego architekta dla litewsko-białoruskiego magnata jest zabytkiem kultury

polskiej, koronne zaś dzieło języka polskiego zostało napisane przez poetę wywodzącego się z rodziny białoruskiej i zaczyna się od słów: „Litwo, ojczyzno moja...”

Z mojego dzieciństwa pamiętam dzień, kiedy byliśmy z moim ojcem rano na mszy w cerkwi greckokatolickiej i modliliśmy się po rusku, słuchając języka starocerkiewnego i śpiewając z całą wspólnotą wiernych owo natrętne „hospody pomyłuj”, wieczorem zaś uczestniczyliśmy w akademii 3-majowej, na której ja deklamowałem wiersz tego Ormiaszki Słowackiego „Na sprowadzenie prochów Napoleona”, bo jeszcze mały kapral był w to wszystko zamieszany.

By dłużej nie nużyć nadmierną ilością przykładów, trzeba tę część rozważań zakończyć stwierdzeniem, iż Rzeczpospolita Wielu Narodów nie nosi tej nazwy przypadkowo lub formalnie. W jej skład wchodziło kilkanaście mniej lub bardziej uprzywilejowanych narodowości, jej kultura zaś powstawała pod wpływami różnorodnych zapożyczeń cywilizacyjnych i etnicznych.

Czy to jednak była Polska w tym znaczeniu, jakie dzisiaj nadajemy temu słowu? Już drugi raz powtarzam to pytanie i skłonny jestem odpowiedzieć: nie. W tym dziwnym kraju wytwarzała się tylko polska kultura. Samo państwo nie było polskie przez kilka ostatnich wieków swojego istnienia. I dlatego kultura jest tak ważną częścią naszego życia. Miejsce kultury nie zostało ugruntowane i ustawione tak wysoko dopiero w epoce rozbiorów. Jeszcze w Rzeczpospolitej niepodległej kultura polska była czynnikiem spajającym różnorodne elementy tego kraju.

Ten dziwny twór nigdy się nie odrodził. Polska powstała po roku 1918 była wprawdzie nadal państwem wielonarodowościowym, ale stosunki między narodowościami były już zupełnie odmienne. Stało się tak za sprawą tego, iż w XIX wieku zaczęły się tworzyć pojęcia narodowościowe nie znane dawniej, ale i również dlatego, że wszelkie wybijanie się na niepodległość było zawsze związane przede wszystkim z polskością. Wszystkie powstania były polskie. Polskie i szlacheckie na dodatek. Polska odrodzona została pomyślana jako państwo z hegemonią Polaków. Ponadto polskie elity nie miały właściwie żadnej prawie konkurencji. Rуска elita szlachecka spolszczyła się prawie bez reszty, kapitalistycznej nie było, inteligencka dopiero się tworzyła. Także te języki, którymi kiedyś mówiono powszechnie i na co dzień, brzmiały teraz po zaborach bardzo wrogo w uszach Polaków. Ponadto obowiązujący traktat o prawach mniejszości narodowych przynosił równie wiele rozjątrzeń, co ochrony rzeczywistych praw mniejszości. I jeszcze była obłądna polityka, pacyfikacje oraz antysemityczne ideologie w pełnym rozpędzie.

Po dawnych czasach w dziedzinie stosunków narodowościowych został nowej odrodzonej Polsce jeden dziwny spadek. Tysiące rodzin, wiele tysięcy obcoplemiennych rodzin całkowicie spolszczonych w czasach, kiedy to się by mogło wydawać najtrudniejsze, czy nawet niemożliwe, w epoce bez państwowości polskiej. I właśnie z tego wzięto się to zdjęcie Skamandrytów. A jednak to był fakt. Kultura polska przyhołubiła do siebie rodziny Słonimskiego i Tuwima. Tuwim chyba był Polakiem i Żydem równocześnie.

Słonimski miał niewątpliwie poczucie wartości własnej żydowsko-polskiej tradycji. Najmłodszym przybyszem na polskiej ziemi był spośród Skamandrytów Wirslein-Wierzyński, syn austriackiego urzędnika kolejowego. Z najbardziej spolszczonych rodzin wiedli się Ormianin Lechoń-Serafinowicz i Rusin Jarosław Iwaszkiewicz. A wszystko razem wielcy polscy poeci. Paradoks? Nie, polska prawidłowość historyczna.

Ułynęło następnych kilkanaście lat. Wojna wyniszczyła Żydów: przemieszczenia geograficzne odsunęły szansę na kontynuowanie tworzenia polsko-ruskiej mieszanki; Niemcy albo ulegli naszej kulturze, albo musieli odejść. Nie ma także Litwinów. Ormianie utracili ostatecznie prawie wszelką odrębność. Wszystkie nasze obecne mniejszości to już tylko resztki dawnych potęg.

Polska staje się coraz to bardziej jednorodna i etnicznie, i kulturowo. Takiej sytuacji nie było od czasów późnego średniowiecza, od czasów Piastów. Nie od ostatnich, gdyż za Łokietka i Kazimierza żywił niemiecki grał już ważną rolę. Przemiany społeczne i ustrojowe także dokonały w tej mierze istotnych korekt. Bo trzeba pamiętać, że ta tradycja Rzeczypospolitej wielokulturowej, wielonarodowościowej była najsilniej podtrzymywana w kręgu kultury poszlacheckiej, choć liczni przybysze do naszej kultury nie wywodzili się z tej klasy, lecz byli raczej mieszczanami. Ale sama szlachta polska była właśnie taką mieszaniną zebraną z różnych stron świata i nieprzypadkowo pojęcia „Rzeczypospolita Wielu Narodów” i „Rzeczypospolita Szlachecka” są właściwie synonimami, bo przecież indygenat szlachecki był

najważniejszym patentem pozwalającym na uczestniczenie w życiu tej różnoplemiennej etnicznie i różnorodnej cywilizacyjnie społeczności. Szlachecki wątek naszych dziejów zamiera jednak teraz coraz szybciej, Polska zaś chłopska, która zaczęła się rodzić już przed wojną i obecnie doszła do zenitu, jest już ojczyzną jednego tylko narodu — Polaków.

Do czego zmierzają te wszystkie wywody? Do ukazania, że pod pojęciem „nowa Polska” lub „Polska XX wieku” czy teraz „Polska socjalistyczna” kryją się w porównaniu z dawną Rzeczpospolitą większe różnice, niżby to mogło wynikać z samej tylko zmiany ustroju.

Dla mego pokolenia, urodzonego w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości, i jeszcze trochę dla tych urodzonych na początku drugiej dekady, tradycja Polski mozaikowej jest jeszcze bardzo żywa. Dla naszych dzieci jednak i dla dzieci naszych dzieci jest to już przeszłość bajeczna. Dla nich Polska to twór jednoetniczny, jednoreligijny, jednocywilizacyjny. Pokolenie wnuków Tuwima ze zdziwieniem bolesnym dowiedziało się w pewnym momencie swego życia, iż nie jest polskiego pochodzenia. To, co dawniej było normalne, bywa teraz szokiem.

To prawda, że w kulturze polskiej dalej znaczną rolę odgrywają ludzie o nazwiskach obco nam brzmiących (to zdanie też nie ma sensu — to są niestowiańskie nazwiska, ale nie brzmią nam wcale obco: są swoje). Można by także zabawić się i zadziwić świat wysyłając na międzynarodowe kongresy polskie delegacje o nazwiskach właściwych dla kraju, gdzie toczyłyby się obrady. We Włoszech mogliby nas reprezentować: Zanussi, Bardini, Korcelli i Nardelli.

Mielibyśmy kogo posłać także i Niemcom i Francuzom, Anglikom i Rosjanom. Ale co z tego? To wszystko nie są już ludzie wychowani w odmiennych tradycjach kulturalnych. W domach niektórych Skamandrytów te inne tradycje były jeszcze silne. U tych obecnych naszych „Włochów” czy „Francuzów” niczego takiego nie dałoby się odnaleźć. Wszyscy są z czysto polskich rodzin. Ze sceny zeszli także przedstawiciele kultury szlacheckiej i tradycji łączących się z Polską wielonarodową, wielokulturową. Dzieci nosiciele tych tradycji zostały wychowane zupełnie inaczej.

W młodym pokoleniu nikt już przeto w zasadzie nie reprezentuje mozaikowych wątków naszej tradycji państwowej i cywilizacyjnej. Nikt ich nawet nie rozumie. Nie ma Polski Ludowej wielu narodów. Była tylko kiedyś taka Rzeczpospolita.

Polska została teraz skazana na siebie samą. Polacy zostali skazani na własne siły. Lepiej to czy gorzej? Przypuszczam, że lepiej. Trzeba nosić w sercu tę nadzieję, tak jak w głowie trzeba mieć świadomość dokonanej zmiany. Hospody pomyśluj.

Aleksander Małachowski

Miesięcznik społeczno-kulturalny „**odra**” nr 10
październik 1978